Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 242 (Rok XIV, Nr 5) 1 marca 1954 Cena (Price) 1/6

CORAZ BLIŻEJ JEDNOSCI

SPRAWA zjednoczenia politycznego emigracji zaczyna wyglądać realnie. Najtrudniejszy merytorycznie punkt, dotyczący stosunku do tzw. jałtańczyków został uzgodniony przez zebranie obu stron obradujące pod przewodnictwem gen. Sosnkowskiego. W przyjętej redakcji główny ustęp tego punktu brzmi:

„Uważamy, że dla skutecznej obrony interesów Polski na terenie międzynarodowym do Rady Jedności Narodowej mogą należeć jedynie działacze polityczni i społeczni, którzy stoją na gruncie ciągłości prawnej państwa polskiego i odrzucają akty jałtańskie. Pragniemy skupić w ramach zjednoczenia wszystkich Polaków, którzy podzielają to stanowisko. Zjednoczenie nie obejmuje osób, które przebywając w wolnym świecie i zajmując w polskim życiu publicznym czołowe stanowiska, uznały akty jałtańskie i podporządkowały się tym aktom. W razie zgłoszenia takiej osoby obowiązuje odrębne postępowanie, a mianowicie o objęciu zjednoczeniem takiej osoby z jakiegokolwiek bądź tytułu rozstrzyga Rada Jedności Narodowej uchwałą powziętą większością 4/5 ogólnej liczby członków Rady“.

Przedmiotem długich debat były dwa ostatnie zdania tekstu. Różnią się one od projektu i uwzględniają poglądy stronnictw Rady Politycznej.

Za powolne tempo rokowań w ostatniej fazie ponosi odpowiedzialność jedna grupa, a raczej jeden człowiek reprezentujący nawet nie swoje ugrupowanie, ale nie wiadomo formalnie kogo, p. Jerzy Kuncewicz, który używał wszelkich sztuk dla opóźnienia porozumienia. Złowrogie zachowanie tej małej postaci może wróżyć dalsze nieprzewidziane kruczki. Nie zmieni ono faktu, że porozumienie między stronnictwami istotnie nastąpiło.

Pozostaje do załatwienia sprawa składu Rady Jedności Narodowej. Projekt gen. Sosnkowskiego sprzed roku wymaga pewnych korektur. Można jednak spodziewać się, że w niedługim czasie nastąpi podpisanie aktu zjednoczenia, na przekór wszystkim siłom, którym zależy na tym, by głos polski nie brzmiał jednolicie w wolnym świecie.

PO KONFERENCJI

Góra porodziła mysz — piękne to przysłowie, szczególnie w zastosowaniu do ostatniej konferencji międzynarodowej w Berlinie. Skutki tego zebrania czterech ministrów wielkich państw zupełnie nie usprawiedliwiają krzyku jaki robiono przed konferencją.

Sprawiedliwie trzeba przyznać, że nie wszyscy jednakowo hałasowali wokół przygotowań do rozmów. Opinia publiczna Ameryki nie była kołysana takimi optymistycznymi obrazami wykutymi w redakcjach wielkich pism, jak opinia niektórych państw Europy. W zamysłach politycznych Sowietów leżało od początku, by okres przed konferencją i samą konferencję zamienić w wielkie przedstawienie propagandowe w celu wykazania „pokojowych intencji ZSRR“. Prasa zachodnio-europejska ze znaczną częścią brytyjskiej po prostu dawała ujście marzeniom o ustaleniu pokoju i zmniejszeniu ciężaru zbrojeń, nie bardzo wiedząc czy rezultaty odpowiedzą marzeniom. Na marginesie działali agenci sowieccy dopomagając w zwiększaniu krzyku.

Sowiety wzięły udział w naradach głównie dla przeprowadzenia decydującej próby storpedowania projektu armii zachodnio-niemieckiej oraz innej, przeprowadzonej bez wielkiego przekonania próby zmierzającej do usunięcia wojsk amerykańskich z Europy środkami pokojowymi.

Zachód zgodził się na konferencję z różnych powodów, sprowadzających się do wspólnej myśli wypróbowania czy polityka sowiecka po śmierci Stalina naprawdę uległa zmianom. Przy okazji usiłowano namówić Sowiety do opuszczenia Niemiec i Austrii.

Obie strony nie uzyskały właściwie nic. Zachód usłyszał, że cena bolszewików za jakiekolwiek ustępstwa jest zabójcza, Europa ma pozostać rozdzielona, rozbrojona i bez pomocy amerykańskiej. Bolszewicy dowiedzieli się oficjalnie, że odprężenie w rozumieniu Zachodu polega na usunięciu wojsk sowieckich jak najdalej na wschód, od Niemiec poczynając. Gdyby bowiem zgodzili się na traktat niemiecki i austriacki, to formalnie biorąc powinni odejść za Bug na północy i do Besarabii na południu.

Rezultatem tak rozpoczętych rozmów był brak rezultatu. Jest dziś oczywiste, że konferencja załatwiająca i postulaty sowieckie i propozycje wolnych państw jest niemożliwa. Konferencja była takim dowodem dla tych, którym ciągle jeszcze, niestety, jest on potrzebny.

Czy obie strony wyciągną wnioski z tego meczu dyplomatycznego, o wyniku 0:0?

ANGIELSKIE WĄTPLIWOŚCI

Obserwatorzy w Berlinie z zainteresowaniem przyglądali się dobrej i zespołowej grze trzech ministrów spraw zagranicznych państw zachodnich. Była ona tym bardziej znamienna, że w ciągu 1953 r. słychać było wiele o różnicach poglądów na tematy takiej konferencji pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią. Stąd bowiem wyszedł churchillowski projekt spotkania „wielkiej trójki“ i potem nowego Locarna w Europie. Zachowanie Edena w Berlinie nie

wskazywało, by Wielka Brytania bezwzględnie trzymała się tych obu pomysłów. Taktyka brytyjska odznaczała się bowiem ugodowością „w ścisłych granicach“ i bardziej zwracała uwagę na wypróbowanie intencji sowieckich niż uzyskanie zdecydowanych rozwiązań. Eden nie dał się skusić Mołotowowi i nie poszedł mu na rękę w sprawie Chin, co po stronie sowieckiej wywołało pewne zdziwienie. Radiostacje pod kontrolą sowiecką rozpuściły nawet pogłoskę natychmiast po zakończeniu konferencji, że pomiędzy Churchillem a Edenem nastąpiły tarcia na tle wyników i linii dyplomacji brytyjskiej. Częściowym potwierdzeniem tej wersji były doniesienia londyńskiego „Observera“, że Churchill patrzy z mniejszym pesymizmem na skutki Berlina i łączy duże nadzieje z koreańską konferencją polityczną w Genewie, w której rówież Chiny wezmą udział.

Bez względu na prawdę czy nieprawdę informacji o poglądach brytyjskich mężów stanu, trzeba powiedzieć, że w obecnej fazie przeszłorocznа polityka Churchilla rozmów z następcami Stalina nie osiągnęła rezultatów. Po pierwsze, premier sowiecki nie okazał ochoty do rozmów osobistych i nie wysunął takiego projektu, po drugie, dotychczasowe rozmowy wskazują że Sowiety mogą się zdobyć na pokojowe oświadczenia, ale nie chcą wycofać wojsk nawet z Austrii, o co przecież Wielkiej Brytanii bardzo chodziło.

Jak polityka angielska ustosunkuje się do dalszych możliwych konferencji, trudno dzisiaj powiedzieć. Wystarczy wspomnieć, że Churchill nie uważa, by konferencja w Berlinie stanowiła zamknięcie cyklu rozmów.

NA KREMLU

Czy polityka sowiecka zmieni się w jakimś stopniu po nieudanych naradach berlińskich, nikt na świecie nie wie. Zasadnicze przemiany organizacyjne i polityczno-partyjne trwają w Sowietach i ich bloku nadal. W Związku Sowieckim urządzane są obecnie kongresy miejscowych partii komunistycznych, podobna seria zaczęła się również w państwach satelickich. Prawdopodobnie są to wszystko przygotowania do nowego (XX) kongresu partii komunistycznej Sowietów. Okazałoby się wtedy, ile zostało ze stalinowskiej budowli uformowanej w 1952 r. Rozpoczęte w ubiegłym roku zmiany postępują więc dalej, chociaż nie noszą cech takiej ostrości, jak czystka przyjaciół Berii. Dotąd przetasowano jeszcze raz aparat partyjny Gruzji, Armenii i Azerbejdżanu, przeprowadzono szereg przesunięć na Ukrainie, w Kazachstanie, Turkestanie i Mołdawii. Nastąpiły ponadto przesunięcia w wojsku, o wiele jednak mniejsze niż w aparacie bezpieczeństwa.

Wszystko to wskazuje, że sprawa następstwa po Stalinie nie została jeszcze zamknięta i zmiany mogą nastąpić nawet w samym politbiurze, czyli jak to się dziś nazywa, Prezydium KPSS. Na zewnątrz Kreml okazuje przejęcie tylko i wyłącznie wyborami do Najwyższego Sowietu, które nie są wprawdzie wyborami, ale na pewno należą do wielkich i kosztownych manifestacji, angażujących całą maszynę państwową. Dlatego trudno oczekiwać, by reakcje po konferencji berlińskiej nastąpiły szybko. Tym bardziej, że będzie jeszcze konferencja genewska, z nowymi próbami oderwania Francji od Stanów Zjednoczonych drogą jakiegoś przetargu w Indochinach. Zagraniczna polityka Sowietów w tej chwili jest prócz tego zajęta Chinami, gdzie brak Mao-Tse-tunga na posiedzeniu KC jego partii zdaje się wróżyć nowy okres w stosunkach wewnętrznych, a także w ekspansji sowieckiej w tamtym kierunku.

GŁOS FRANCJI

Ujawniony został tekst listu, jaki Francuski Komitet Wolnej Europy wystosował do premiera Laniela w związku z konferencją berlińską. List nosi podpis Edmunda Naegelena, kandydata na prezydenta Francji w ostatnich wyborach.

Wspomniawszy najpierw o nadziejach narodów, które w wyniku konferencji międzynarodowych utraciły wolność, list stwierdza niedwuznacznie, że „za decyzje powzięte na tych konferencjach pod nieobecność Francji, a rozbijające Europę, ciężar odpowiedzialności na Francję nie spada“. Powołując się następnie na wydany po Bermudach przez ministrów spraw zagranicznych trzech mocarstw zachodnich komunikat, stwierdzający, że „nie mogą uznać obecnego podziału Europy ani za słuszny, ani za trwały“, autorzy francuscy piszą:

„My, którzy czytaliśmy to zasadnicze stwierdzenie i w pewnej mierze obarczeni obowiązkiem czuwania nad utrzymaniem tradycyjnych związków między Francją i narodami Europy wschodniej, wyrażamy ufność, że Francja wierna tym tradycjom, świadoma konieczności zawarcia pokoju prawdziwie gwarantującego wszystkim narodom sprawiedliwość, wolność i bezpieczeństwo, reprezentowana przez jej ministra spraw zagranicznych nie wniesie do narad berlińskich ducha daremnych, niebezpiecznych koncesji. Jesteśmy pewni, iż nie straci z oka ani na chwilę faktu, że zjednoczenie Niemiec mogłoby przynieść z sobą dla dzisiejszej Europy zachwianie równowagi, jeśliby nie było połączone z przywróceniem niepodległości narodom wschodniej Europy. W ten jedynie sposób mogłaby się ustalić prawdziwa równowaga europejska. Wspominamy tylko dla pamięci wysuniętą na wysokim szczeblu propozycję, by zawrzeć układ między Wschodem i Zachodem, utwierdzający w istocie rzeczy obecny podział Europy z wyjątkiem Niemiec wschodnich. Jesteśmy bowiem pewni, że delegacja francuska nie złoży swoich podpisów pod podobnym przetargiem“.

W zakończeniu autorzy listu raz jeszcze przypominają rolę Francji w Europie i płynące stąd wielkie obowiązki. Pierwszym z nich jest, by nigdy nie zgodzić się na nowe opuszczenie narodów, pokładających w niej swoją wiarę i swe nadzieje.

Należy podkreślić ten autentyczny głos francuski, tym bardziej, że nieznane nam jest jakiekolwiek odezwanie się równie jasne i aktualne ze strony brytyjskiego Ruchu Europejskiego.

KONGRES PEŁNOMOCNIKÓW MOSKWY

W Warszawie ma się rozpocząć 10 marca, odroczony w połowie stycznia drugi z kolei kongres partii rządzącej Polską w imieniu Sowietów. Zebrani z całego kraju pezetpeerowcy chwalą się wynikami budownictwa socjalizmu i biją w piersi za błędy i niedociągnięcia popełnione od chwili połączenia prawdziwej partii komunistycznej z fałszywą partią socjalistyczną. Wir zmian, w jakie Polskę wepchnął sowiecki protektorat, trudno jest wyraźnie opisać z dużej odległości, gdy się przygląda uważnie można jednak ocenić.

Najlepszym jakby symbolem tego, co się dzieje jest zeszłoroczna dysku-

MSZA ŚW. ŻAŁOBNA

za spokój duszy zmarłego 19 stycznia w Warszawie

ŚP. STANISŁAWA ZIELIŃSKIEGO

odprawiona będzie w sobotę 6 marca o godz. 9.30 przed ołtarzem Matki Boskiej Kozielskiej w Brompton Oratory

PRZYJACIELE

sja warszawskich architektów. Omawiano ciekawy projekt rozbudowy stolicy na zachód, opierający się o pomysł stworzenia centralnej osi miasta wzdłuż pasa zieleni i parków w kierunku Woli od ogrodu Saskiego.

Stanowczy opór przyszedł od oficjalnego kierownika odbudowy Warszawy inż. Józefa Sigalina, wysokiego dygnitarza partii i reprezentanta reżimu. Plan jest niemożliwy, powiedział, gdyż zapomina, że centralnym punktem Warszawy ma być pałac im. Stalina i wszystko inne ma z tym centrum harmonizować.

Tak! Wszystko ma się obracać koło Stalina i jego idei. Wszystko ma harmonizować z moskiewskimi założeniami. To jest właśnie sens polityki, odbudowy i rozbudowy prowadzonej przez kierowników partii, przez nieporozumienie nazywającej się „robotniczą", a przez wrodzoną skłonność do mówienia nieprawdy „polską".

Przez kilka lat rządów komunistów zaszły w kraju wielkie zmiany. Skład społeczny ludności przesunął się w kierunku miasta, proporcja zmieniła się tak, że nie ma już większości ludności wiejskiej. Został rozbudowany przemysł, górnictwo dostarcza 89 milionów ton węgla rocznie, przemysł stalowy 3.6 miliona ton. Straszliwe razy zadano indywidualnemu przedsiębiorcy. W mieście go niemal zlikwidowano, na wsi ledwo się utrzymuje wobec nacisku kolektywizacji.

Życie duchowe zostało uniemożliwione. Nic to bowiem, że wychodzą milionowe nakłady pism i książek. Wolno w nich drukować tylko to, co się zgadza z rozkazem. Dozwolona jest jeszcze przeszłość, ale fryzowana przez fałszywych historyków i badaczy literatury.

Reżim nie mógł dotąd zabronić wyznawania religii, ograniczył ją jednak niezmiernie, przeprowadził terrorystyczne aresztowania kapłanów, zaczął podgryzać gmach niezależności Kościoła.

Wszystko to wygląda zupełnie jak odbudowa Warszawy naokoło pałacu im. Stalina. Jest olbrzymi ruch, są imponujące wyniki, lecz wszystko ma harmonizować ze stalinizmem czy malenkowszczyzną.

Rzeczywistość krajowa jest taka, że Polacy pracują, Polacy budują, Polacy płacą podwójnym wysiłkiem za każdy nowy gmach, tymczasem owoce tego wysiłku coraz częściej zbiera Rosja Sowiecka. To jest bilans do przedstawienia drugiemu kongresowi krajowych pełnomocników Kremla, zbierających się w Warszawie.

PRZEMYSŁ

O rozbudowie polskiego przemysłu i górnictwa komunistyczni chwalcy krzyczą i piszą od rana do wieczora. To rzekomo oni rozpętali twórczą energię narodu i skierowali w nurt nieustannego rozwoju, na drogę wielkości i postępu.

Co słowo, to nieprawda. Energia twórcza istniała w masach polskiego narodu przed pojawieniem się komunistów, spętana trudnościami zewnętrznymi i wewnętrzną dyktaturą. Komuniści ją wykorzystali i wprzęgli w usługi Moskwy. Mówi się wprawdzie, że dłużej klasztora niż przeora, co oznacza, że komuniści przeminą, a zbudowane zostanie. Im dłużej jednak trwa komunistyczna budowa, tym bardziej widać, że to nie dzieło narodowe tylko potwór. Rozdymają się przesadnie jedne gałęzie przemysłu, nierównomiernie kurczą inne, kalecząc życie ekonomiczne i powodując trudności tam, gdzie ich być nie powinno jeśli kraj ma się naprawdę rozbudowywać.

Górnictwo produkuje blisko trzy razy więcej węgla niż przed wojną, jednocześnie wszędzie są ograniczenia opału i ludzie marzną w czasie zimy. Przemysł stalowy daje dwa i pół raza więcej stali niż w 1939 r., ale patelnie i garnki robi się ze szkła. Brakuje nożyków do golenia, noży, gwoździ, haków, śrubokrętów i dłutek. Ba, brakuje nawet ciężkich maszyn rolniczych. Wszystko dlatego, że ani węgiel, ani stal nie są przeznaczone dla Polski. Widać to choćby w najmłodszym przemyśle, budownictwie okrętowym. Rozwinęły się wielkie stocznie w Gdyni, Gdańsku, Szczecinie i stale są rejestrowane wodowania nowych jednostek handlowych. Dziwnym jednak trafem marynarce przybywa mniej statków, niż ich wychodzi ze stoczni. Nie tylko stare, piękne, jednostki przechodzą na własność sowiecką; ten sam los spotyka i nowe, ostatnio wykonane przez najmłodszy przemysł.

Nic dziwnego, że w tych warunkach nawet najwierniejsi pracownicy komunizmu załamują się i odmawiają posłuszeństwa, inni zaś padają przeciążeni pracą, której sens wydaje im się coraz bardziej niejasny. Przecież to pierwszy polski stachanowiec Pstrowski zmarł wskutek wysiłku, przecież to jego następca Markiewka odesłał reżimowe ordery i przeklął komunizm za wyzysk robotnika. To jest prawdziwa podszewka 89 milionów ton węgla i 3.6 milionów ton stali.

Czy krajowi komuniści będą pamiętać, by wymienione pozycje dołączyć do bilansu?

CZŁOWIEK

Istotnym skarbem narodu polskiego jest 25 milionów Polaków mieszkających na polskim terytorium. Gospodarka tą masą ludzką decyduje o wartości lub bezwartościowości administracji.

Te 25 milionów ludzi, to tyleż ofiar rządów komunistycznych. Co bowiem pełnomocników Kremla obchodzi człowiek, wskazują ich własne cyfry, chociaż podobno cyfry nie umieją mówić. Jak umieją, świadczy choćby radosne sprawozdanie z budowy nowego osiedla na Grochowie II w Warszawie. Miała tam powstać kolonia dla około 10 tys. osób. Wzniesiono w wielkich blokach blisko 900 izb, ale już mieszka tam 13 tys. ludzi, jak z dumą podaje sprawozdawca warszawskiego tygodnika „Stolica". Trzynaście tysięcy w 900 pokojach. Ileż to osób wypada na jeden pokój? Jeśli nawet wziąć pod uwagę, że część śpi w kuchniach, łazienkach i korytarzach, to i tak warunki życia w tym nowiutkim osiedlu muszą być nieznośne.

Można na to powiedzieć, że jednak zgodnie z oświadczeniami zupełnie bezstronnych świadków Polska jest jednym wielkim placem budowy, że buduje się tam bardzo dużo. To prawda! Fotografie drukowane w gazetach reżimowych wskazują, że dwie arterie stolicy, Krucza i Świętokrzyska, zamieniły się w aleje urzędowych gmachów. Co krok jest ministerstwo albo zarząd centralny. To samo dzieje się w starych budynkach. Dzięki Bogu, powstały z gruzów stare pałace Warszawy, ale po to tylko, by gościć komunistyczne urzędy. W innych miastach setki lepszych domów zarekwirowano na komitety, biura, centrale. Gdzie zaś mieszkają ludzie, ci zwykli ludzie pracy, o których komunizm tak się jakoby troszczy?

I znów odpowiedź dają komunistyczne cyfry, które tak jak kij mają dwa końce.

Wojna pozostawiła Polsce spuściznę zniszczeń, mówi komunistyczna Polska Agencja Prasowa: 3 miliony izb mieszkalnych legło w gruzach w czasie działań wojennych na dzisiejszym terytorium. W innym miejscu ten sam komunikat powiada, iż na przestrzeni lat 1945-53 odbudowano 1.200.000 izb mieszkalnych. Cyfry te mówią, że całe wielkie budownictwo w najmniejszym stopniu dotyczy właśnie człowieka: załatano tylko czterdzieści procent zniszczeń wojennych w domach mieszkalnych.

Powstaje pytanie: ile izb mieszkalnych mogłoby wyrosnąć zamiast pałacu Stalina w Warszawie i na miejscu co najmniej połowy „biurowców", mieszczących obecnie komunistyczne papierki i komunistycznych pisarzy kancelaryjnych.

Tak więc w ciągu ośmiu lat czterdzieści procent przedwojennych lokatorów odzyskało mieszkania. Co zaś dzieje się z dawnymi mieszkańcami pozostałych 1.800.000 izb? Co się dzie-

je z dwoma milionami chłopów, którzy napłynęli do miast, aby pracować w fabrykach? O tym propaganda nie mówi i należy się obawiać, że i kongres komunistów nie znajdzie słów, by nędzę milionów bezdomnych choć w części opisać.

„Cały naród buduje swoją stolicę" — powiadają slogany odbudowy Warszawy. Cały naród miał nadzieję, że znajdzie dla siebie dach nad głową i w stolicy i gdzie indziej. Jak się okazuje, na dach mogą liczyć komuniści i ich zagraniczni instruktorzy. Naród ma dalej budować, gdyż inaczej będzie mieszkał do nieznanej daty ... pod gołym niebem lub w barakach po kilkadziesiąt osób.

GŁOSY POLONII O PRZECIWNIKACH ZJEDNOCZENIA

Czytelnika pism polonijnych wychodzących w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Argentynie i innych krajach polskiego osiedlenia uderza bardzo duże zainteresowanie sprawą zjednoczenia politycznego i rozpoczętą w Londynie ostatnią fazą rozmów. Zainteresowanie to jest znacznie większe niż pism polskich w Anglii czy na kontynencie europejskim. Wszystko, co się dzieje w Londynie, znajduje jakby zwiększone echo w odległych skupiskach polskich, wywołując najczęściej uczucie żalu, że aż tyle przeszkód kładzionych jest na drodze do zjednoczenia.

Komentarze dzienników i większych tygoników w Ameryce wykazują doskonałą znajomość układu sił politycznych na emigracji i niedwuznacznie określają czynniki przeciwne zjednoczeniu. Zastanawiająca jest jednolita w tym względzie ocena siedmiu polonijnych pism codziennych z „Nowym Światem", „Dziennikiem dla Wszystkich" i „Dziennikiem Związkowym" (organ prez. Rozmarka) na czele, nie licząc już zmienionych wiatrów, jakie zaczęły przenikać do detroickiego „Dziennika Polskiego", który jedyny stawał w obronie ośrodka rządowego, a obecnie coraz wyraźniej popiera akcję gen. Sosnkowskiego.

Okres niedawnego przesilenia rządowego usunął wszelkie pokutujące jeszcze wątpliwości co do tego, kto istotnie nie chce dopuścić do porozumienia. Nowy zaś rząd p. Hryniewskiego przyjęty został przez prasę polonijną do tego stopnia źle i lekceważąco, że nie może już być mowy o jakimkolwiek jego autorytecie wśród szerokich rzesz Polonii.

Nowojorski „Nowy Świat" w numerze z 4 lutego w artykule wstępnym omawiającym manewry zakulisowe w Londynie daje następującą konkluzję: „Gen. Sosnkowski, inicjator akcji zjednoczeniowej, potwierdził innymi słowy, że sklecony przed jego przyjazdem jemu na psotę rząd Dolanowskiego-Hryniewskiego jest, jak to pisaliśmy na tym miejscu, rządem niezgody ... Co do nas, to z oddali 3.000 mil akcja Dolanowskiego i towarzyszy przypomina w rokowaniach o zjednoczenie raczej akcję Mołotowa na konferencji w Berlinie. Dolanowski i towarzysze nie chcą zjednoczenia obozu niepodległościowego polskiej emigracji politycznej, jak Mołotow i towarzysze nie chcą zjednoczenia Niemiec i trwałego pokoju, bo im to nie na rękę. Rząd niezgody i rozbicia żeruje na niezgodzie i rozbiciu, a po zjednoczeniu i zgodzie nie będzie mógł żadną miarą się utrzymać i o tym wie. Są wprawdzie tacy, którzy udają naiwnych, twierdząc, że lepszy rząd taki, jak żaden, ale to jest zamykaniem oczu na prawdę oczywistą".

Wychodzący w Buffalo „Dziennik dla Wszystkich" w numerze z 26 stycznia w artykule wstępnym ocenia rolę rządu p. Hryniewskiego w sposób następujący: „Skład rządu p. Hryniewskiego wykazuje, że konflikt w ośrodku rządowym pogłębia się coraz bardziej. Jeśli chodzi o szanse zjednoczenia, to ten skład rządu bynajmniej nie rokuje pomyślnych widoków, wiadomo bowiem, że właśnie pp. Hryniewski, Hanke i Rusinek, jako członkowie rządu p. Odzierzyńskiego doprowadzili do upadku tego rządu ... Smętny jest więc obraz, jaki przedstawia ośrodek rządowy. Staje się po tym rzeczą zrozumiałą to, co mówi dr Korowicz, który niedawno wydostał się ze szpon reżimu, że rząd w Londynie nie cieszy się należytym poszanowaniem w Polsce właśnie dlatego, że nie jest reprezentacyjny. Obecnie zaś p. Hryniewski tworzy rząd, który ma jeszcze mniejsze oparcie niż jego poprzednik. Jest to typowy rząd mniejszości, a kto na tym cierpi? Rzecz oczywista, że sprawa polska. I patrząc na ten tragiczny obraz rozbicia i skłócenia trudno oprzeć się straszliwym przypuszczeniom, że jakaś wroga Polsce ręka mąci to wszystko, kłóci, rozbija, znajduje przeszkody do zjednoczenia. Istotnie smętnie to wygląda".

Chicagoski „Dziennik Związkowy" pisze na tle londyńskiej sytuacji politycznej w numerze z 25 stycznia: „Na pierwszym zebraniu po objęciu urzędu Hryniewski wygłosił przemówienie, w którym dość ostentacyjnie wypowiedział się za akcją zjednoczeniową w bardzo ogólnikowej formie. Utwierdza się wszelako powszechne mniemanie, że należy on nadal do największych przeciwników inicjatywy gen. Sosnkowskiego, któremu wypłatał złośliwego figla przez przyjęcie steru gabinetu i to wbrew wyraźnym zaleceniom Ligi Niepodległości, która odmówiła mu poparcia ... W kołach zbliżonych do tzw. „zamku" zapanowało dyskretne milczenie, ale wszyscy głośno tu mówią o tym, że Rusinek rozpisze „wybory" po całym świecie i przeprowadzi je na swój sposób w celu dalszego utrzymania status quo, tj. „wyboru" prezydenta Augusta Zaleskiego na dalszych siedem lat konstytucyjnych, a tym samym ubicia raz na zawsze inicjatywy zjednoczeniowej nie tylko gen. Sosnkowskiego, ale w ogóle każdej innej pod hasłem usunięcia wszelkich „przeżytków", jak stronnictw, zasłużonych zwłaszcza w Rządzie Jedności Narodowej w Polsce Podziemnej".

Jeden z najpoważniejszych tygodników polonijnych, „Pittsburczanin", z dnia 29 stycznia tak komentuje w artykule wstępnym znane przemówienie noworoczne: „W toku przemówienia swego prezydent Zaleski powiada: „Znakomita większość Polaków uznaje państwo na uchodźstwie. Dowodem tego jest wielkie powodzenie Skarbu Narodowego".

Czyżby?!

Czy insynuuje prezydent Zaleski, że kto da dolara na Skarb Narodowy jest dobrym Polakiem, uznającym państwo polskie na uchodźstwie — a ten kto nie daje, tym samym staje przeciw państwu polskiemu?

Wydaje się nam, że uznanie takich dowodów przynależności i wierności państwu polskiemu jest więcej niż chybione, niestosowne i nieścisłe. Nie mamy nic przeciw tym, których działacze sanacyjni przekonali, że powinni łożyć na Skarb Narodowy teraz i na ich ręce, ale mamy dużo przeciw temu, by prezydent państwa polskiego na uchodźstwie ofiarodawców na Skarb Narodowy wyszczególnił jako składających dowody swej wierności państwu polskiemu. Byłoby to bowiem niesłychaną próbą dzielenia Polaków na dobrych i złych, na wiernych i niewiernych, z tym, że do dobrych należy wyłącznie grupa zwolenników i ofiarodawców na Skarb Narodowy, będący w rękach jednego ugrupowania narzędziem propagandowym i uprawnieniem do orderów, rozdawanych obecnie w imieniu ... państwa polskiego na uchodźstwie".

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

„BYT OKREŚLA ŚWIADOMOŚĆ“

„...ewoluował stopniowo ku stanowiskom Polski Ludowej i zmarł jako Jej drogi i wierny syn. Byt określił Jego świadomość!“
Broniewski „O Julianie Tuwimie“ — „Trybuna Ludu“, 29. 12. 53.

I.

PODSTAWĄ materializmu dziejowego, tej obowiązującej w świecie sowieckim pseudofilozofii, jest teza, że byt określa świadomość. Nie należy tezy tej traktować lekko jako jednego z liturgicznych haseł, w które sami komuniści nie bardzo wierzą. Teza ta bowiem jest podstawowa, jest konieczna w samym myśleniu komunistycznym i odbija się w życiu nie tylko filozofów, ale każdego człowieka poddanego władzy bolszewickiej.

Komuniści istotnie są przekonani, że warunki bytu materialnego przesądzają o sposobie myślenia, że jeśli zmieni się warunki bytu, zmieni się w konsekwencji automatycznie sposób myślenia ludzi. Jak każdy wielki błąd, który zaciążył na dziejach ludzkich i ta teza jest półprawdą. Nie ulega wątpliwości, że warunki życia materialnego wpływają na sposób myślenia, że zmiana systemu w jakim człowiek żyje wywołuje stopniową zmianę w sposobie jego rozumowania. Ale między warunkami bytu a świadomością nie zachodzi stosunek przyczyny i skutku, lecz stosunek wzajemnego oddziaływania. Warunki bytu człowieka zależą w pewnym tylko stopniu od zjawisk ściśle materialnych, przyrodniczych, a w znacznie większym stopniu od działań ludzkich. Działania ludzkie zaś zależą od świadomości. Zmiany warunków bytu następują bardzo rzadko wskutek zjawisk naturalnych, zwłaszcza w społeczeństwach cywilizowanych, ale najczęściej wskutek odkrywczej działalności człowieka. Źródłem zmiany systemu wytwarzania, zmiany obyczaju i prawa jest zmiana poglądów. Nie należy przy tym składać wszystkiego na karb wynalazków technicznych. Wynalazki techniczne są dokonywane wtedy, gdy poglądy stwarzają atmosferę dla ich zastosowania, inaczej, nawet gdy wynalazek zostanie dokonany, będzie zapomniany albo przez samego wynalazcę, albo przez jego otoczenie.

Fałszywe przeświadczenie, że byt całkowicie określa świadomość daje komunistom pewną siłę. Daje im poczucie, że byle tworzyli nowe formy bytu materialnego, mogą czekać na zmianę poglądów ludzkich, jak przyrodnik czeka na skutek swego wypróbowanego eksperymentu. Przeświadczenie, że rzeczywiście ważna jest tylko zmiana warunków bytu, tłumaczy bardzo wiele w komunistycznej praktyce. Tłumaczy na przykład cyniczny w naszym pojęciu stosunek do własnych słów i oświadczeń, zmiany poglądów na rozkaz, posługiwanie się oportunistami, a nawet przedkładanie ich nad ideowych komunistów, uprzywilejowanie młodzieży bez względu na to czy wierzy się w szczerość jej poglądów. Co bowiem człowiek głosi, nawet w co wierzy, jest przejawem świadomości, a świadomość określona jest przez byt. Człowiek więc może mówić, nawet wierzyć w pewne rzeczy z przyzwyczajenia pochodzącego z dawnych warunków bytu, ale to nie ma istotnego znaczenia, bo nowe warunki bytu zmienią świadomość. Każda ważna zmiana warunków bytu wywołuje zmianę świadomości, więc jest słuszne by po każdej zmianie ustrojowej, po każdym „przezwyciężeniu fazy“ następowała „czystka“, likwidacja tych, którzy nie byli zdolni do zmiany świadomości w wyniku zmiany warunków bytu, choćby sami mieli największą zasługę w wywołaniu tej zmiany warunków.

II.

Gdyby komuniści byli zupełnie pewni wewnętrznie tej swojej tezy, mogliby pozostawić w spokoju całą „nadbudowę“ kulturalną i czekać na wyniki zmian w ustroju społeczno-gospodarczym. Widocznie jednak nie są pewni. Niepewność osłaniają argumentem o knowaniach „starego świata“ i na podstawie tego argumentu niszczą formy kulturowe istniejące. Ale co z twórczością? Z tworzeniem pojęć, z organizowaniem świadomości? Tu komuniści nie czekają na owoce nowego ustroju, lecz żądają zmian świadomości na kredyt. Tu zmiana świadomości ma w teorii iść razem ze zmianą warunków bytu, a w praktyce ma je wyprzedzać. Cała twórczość artystyczna ma mówić o tym co będzie lub co powinno było być. Tu, wbrew teorii świadomość nie odzwierciedla zaszłych zmian bytu, lecz przygotowuje je. Socrealizm nie polega na realizmie w odtwarzaniu istniejącej rzeczywistości, ale na realistycznym odmalowywaniu postulatów programowych zarówno w przeszłości jak i w teraźniejszości.

Kiedy się czyta powieści krajowe, uderza papierowość świata „socjalistycznego“ w przedstawieniu Brandysa, Rudnickiego, Kruczkowskiego czy innych. W istocie autorów tych interesują tylko własne osoby i światek intelektualny, w jakim wyrośli. Szczerszy ton rozbrzmiewa w ich utworach tylko kiedy piszą o problemach warsztatu pisarskiego lub gdy załatwiają satyrycznie jakieś porachunki ze „starego świata“ kawiarń przedwojennych. Teoretycznie komuniści powinni poczekać aż wyrośnie pokolenie artystów z warstwy robotniczej, żyjących życiem tej warstwy. Widocznie mają wątpliwości czy wyrośnie, a doświadczenia „przodującego narodu radzieckiego“ dają pole do najdalej idących pod tym względem wątpliwości.

Nie należy jednak posądzać komunistów o zbytnią niekonsekwencję. Żądając twórczości socrealistycznej od artystów wszelkiego rodzaju, nie ograniczają się oni do apelu wprost do świadomości twórcy czy to perswazją, czy strachem. I tu stosują zasadę, że byt określa świadomość. Stosują jednak w sensie bardziej wulgarnym.

Uznani za pożytecznych dla sprawy komunizmu pisarze są najlepiej sytuowanymi ludźmi w kraju. Państwo wydaje ich utwory w wielkich nakładach i płaci od tych nakładów honoraria odpowiednio wysokie. Taki Rudnicki np. (jeden z niewielu przedwojennych komunistów jacy przeżyli) napisał kilka opowiadań, które wydaje w coraz innym układzie i pod coraz nowym tytułem od kilku lat. Przedwojenna ramota Kruczkowskiego „Kordian i cham“ wychodzi wciąż w nowych wydaniach. Tuwim żył w Otwocku w willi urządzonej z iście orientalnym przepychem, Gałczyński miał tyle alkoholu ile zapragnął.

Nie należy bez zastrzeżeń przyjmować rozpowszechnionego na emigracji argumentu, że pisarz w ustroju sowieckim „musi“ pisać co mu każą. Przeczy temu prosta znajomość ludzi piszących. Nie wszyscy znani przed wojną pisarze tworzą w nakazanym duchu. Wielu, i to wcale nie poślednich, umilkło od lat. Inni przestali wydawać

swoje książki w ostatnich latach, jeszcze inni wydają je w małych nakładach na tematy „nieszkodliwe“ lub piszą libretta czy tłumaczą. Pisarz „musi“ stać się propagandzistą komunistycznym tylko jeżeli chce żyć w dobrobycie. Gdyby przed wojną zapytano kogoś znającego dobrze sfery literackie, kto jego zdaniem poszedłby na służbę obcych w ciężkiej sytuacji, prawdopodobnie wymieniłby z małymi błędami obecnych piewców socrealistycznych. Wśród przedwojennych literatów ludzie o słabym charakterze, pięknoduchy uważające, że artyście wszystko wolno, twórcy bez mocnego pionu moralnego stanowili, niestety, bardzo liczną grupę. Przypominam sobie nawet rozważania w prasie literackiej na ten temat: kampanię Piaseckiego przeciwko „talentyzmowi“, atak Wragi na literatów w „Polsce Zbrojnej“.

Byt określa świadomość u różnych ludzi w różnym stopniu. Wpływ na byt mają ci ludzie, którzy mają dość siły wewnętrznej by nie poddawać się warunkom materialnym. Oni są twórcami i nowych wynalazków technicznych i nowych poglądów i nowych wartości estetycznych. Inni, choćby najbardziej utalentowani są tylko odtwórcami. Nie zdobywa się nowych wartości bez walki. Przeszło sto lat temu Mickiewicz zauważył, że stypendia dla literatów mogą odegrać równie złowrogą rolę w literaturze, jak niegdyś tłuste beneficja w życiu Kościoła.

Skłonni jesteśmy na emigracji widzieć tylko dwie gałęzie twórczości polskiej: jedną oficjalną socrealistyczną w Polsce i drugą, z natury rzeczy słabnącą, bo pozbawioną świeżego dopływu rodzimych wrażeń — emigracyjną. Zapominamy, że literaturą jest nie tylko to co wychodzi w postaci druku, że ludzie z pasją twórczą muszą coś pisać, a bodaj układać sobie w głowie. W tych dziedzinach, gdzie jeszcze twórczość jest w Polsce możliwa, jak w pewnych działach historii czy filologii, wychodzą wcale dobrę rzeczy, nieraz na poziomie lepszym od przedwojennego. W literaturze pięknej czy krytyce już prawie nie ukazuje się nic twórczego. Ale ludzie tworzą. Nie zapominajmy o literaturze niewydanej, a nawet o tych dziełach, które rodzą się i rozwijają dopiero w umysłach by ujrzeć światło dzienne, gdy nastaną po temu warunki.

III.

W ogóle, o ile komuniści przeceniają wpływ warunków bytu na świadomość, o tyle u nas kultywuje się nadal z przyzwyczajenia panujące w polskim dziewiętnastym wieku niedocenianie wpływu tych warunków, natomiast przecenianie społecznego znaczenia słowa pisanego. W braku życia politycznego i przy zacofaniu społeczno-gospodarczym ziem Polski w okresie rozbiorowym, literatura zastępowała nam doświadczenie polityczne. Wszystko co napisał wybitny poeta stawało się wydarzeniem życia publicznego. W życiu pokolenia wychowanego w niepodległym państwie w okresie dwudziestolecia literatura grała już nieporównanie mniejszą rolę — nie czerpano z niej wzorów ani miar do życia politycznego. W nienaturalnych warunkach emigracyjnych, gdzie znowu zabrakło rzeczywistych codziennych doświadczeń politycznych, powróciły, zwłaszcza u ludzi starych, nałogi z epoki spóźnionego romantyzmu polskiego. Jednym z tych nałogów jest przesadne przywiązywanie wagi do politycznych poglądów artystów. Zsocrealizowanie literatury o Polsce, jakiekolwiek będzie miało skutki poza tym, jeden skutek przyniesie niewątpliwie: dalszy tym razem bardzo głęboki upadek autorytetu społecznego pisarza i w ogóle artysty.

Od Mickiewicza i Chopina poprzez Matejkę do Sienkiewicza i Paderewskiego artyści byli reprezentantami i nauczycielami narodu. Przestali grać tę rolę w początkach dwudziestego wieku, gdy stanęły przed Polską realne możliwości polityczne. Utrata niepodległości po dwudziestu latach tej roli artystom nie przywróciła i przywrócić nie może, bo czasy są zupełnie inne. W epoce wielkiej emigracji rolę polityczną grał nie tylko Mickiewicz, ale także Lamartine i Victor Hugo. Dziś ludzie nie interesują się poglądami politycznymi Hemmingwaya czy Greene‘a. Bo też w ogóle inni ludzie interesują się dziś polityką niż przed stu laty. Inni jako formacja psychiczna i inni jako formacja socjalna.

PAWEŁ HĘCIAK

KONIEC LEGENDY

WRACAJĄC w 1788 r. do Paryża po nieudanej misji w Berlinie hr. Mirabeau powiedział: „Prusy nie są państwem posiadającym wojsko, to wojsko posiada państwo“. Ta trafna obserwacja sprzed 150 lat nie straciła nic na aktualności po pierwszej wojnie światowej. Już w poprzedniej części tych uwag („Myśl Polska“ z 15 stycznia) na marginesie książki Wheeler-Benneta „The Nemezis of Power“ starałem się wykazać wielką rolę Reichswehry w republice weimarskiej. Przypomnę tylko krótko, że najpierw gen. v. Seeckt, szef sztabu generalnego w latach 1920-26, dążył konsekwentnie do odpolitycznienia wojska, co w konsekwencji całkowicie izolowało wojsko od społeczeństwa. Wojsko samo w sobie stało się groźną siłą polityczną. Okres drugi, to rządy gen. Schleichera. Ten polityukujący generał, zwany szarą eminencją Reichswehry, spowodował swoją intrygancką polityką własny upadek i zgubę, torując jednocześnie Hitlerowi drogę do władzy.

Znany jest powszechnie antygeneralski kompleks Hitlera, ma on zresztą uzasadnienie psychologiczne. Hitler bowiem wyczuwał instynktownie opory kasty wojskowej przeciw niemu, kapralowi, jako naczelnemu wodzowi niemieckich sił zbrojnych. Opór był jednak znacznie mniejszy niż Hitler przypuszczał.

Co mogło być powodem tak szybkiej kapitulacji? Odpowiedź jest prosta.

1. Rozkaz współdziałania z nowym kanclerzem Rzeszy Hitlerem, wyszedł od samego naczelnego wodza, Hindenburga. Jeśli były jakieś skrupuły, to trwały krótko. Rozkaz z góry zwalniał od zastanawiania się czy Hitler jest właściwym i godnym następcą Hindenburga, czy nie.

2. Sztabowi generalnemu zależało bardzo na spokojnym kontynuowaniu tajnych zbrojeń rozpoczętych jeszcze za v. Seeckta. Jeśli więc hitlerowcy przyrzekli nie przeszkadzać w tej pracy, to dlaczego nie współdziałać z nimi? Część oficerów przypuszczała, że prędzej czy później uda się im wziąć Hitlera w garść. „To oszukiwanie samych siebie w 1933 r. przez ludzi, którzy mimo wszystko winni byli się orientować, jest czymś — pisze Wheeler-Bennet — do czego zdolni są tylko Niemcy.“

3. Silną grupę w Reichswehrze stanowili oficerowie o bezgranicznej pysze i głupocie. Było im obojętne, kto rozkazuje i dla jakich celów. Ponieważ nadarzała się „szansa wojskowej awantury“, otwierająca widoki osobistej kariery, dlaczego nie pójść z Hitlerem.

Wojsko oddał w pacht Hitlerowi zawarty 11 kwietnia 1934 r. w ta-

jemnicy na pokładzie krążownika „Deutschland“ układ z ministrem obrony Blombergiem. Wobec możliwości rychłej śmierci starego Hindenburga, Blomberg zobowiązał się w imieniu wojska poprzeć Hitlera jako kandydata na prezydenta, za co Hitler przyrzekł zmniejszyć wpływy konkurencyjnej i ambitnej SA oraz zabezpieczyć Reichswehrze decydującą rolę we wszystkich sprawach wojskowych. Generalicja przyjęła umowę na odprawie 16 maja jednomyślnie do wiadomości, nie przypuszczając, że tym samym przypieczętowała swój los. Hitler postępował konsekwentnie. 30 czerwca 1934 r. podczas słynnej „nocy św. Bartłomieja“ zlikwidował szefa sztabu SA kpt. Röhma i jego najbliższe otoczenie. Wojsko, dla którego rzeź w szeregach konkurencyjnej grupy była na rękę, przyglądało się masakrze w milczeniu. A gdy 1 sierpnia Hitler został głową państwa, jednocześnie został naczelnym wodzem i Reichswehra stała się odtąd jego posłusznym narzędziem. Na mundurze żołnierza niemieckiego zjawiła się swastyka.

2 sierpnia 1934 r. wojsko złożyło nową przysięgę na wierność osobistą Hitlerowi („bezwzględne posłuszeństwo Adolfowi Hitlerowi, Führerowi Rzeszy i narodu niemieckiego, najwyższemu dowódcy sił zbrojnych“).

I tak armia powoli utraciła swoje znaczenie i wpływ schodząc do roli jednej z trzech broni równej marynarce i lotnictwu. Potężna ongiś pozycja szefa sztabu armii (słowo armia — Heer, należy tłumaczyć jako siły lądowe w odróżnieniu od Wehrmachtu — siły zbrojne) znaczyła obecnie tyle samo, co szefa sztabu lotnictwa czy marynarki.

Dla generałów niemieckich wojna rzadko kiedy miała aspekty moralne. Sojusz z Hitlerem tym bardziej pozbawił ich jakichkolwiek skrupułów. Myślą przewodnią stało się powiedzenie Clausewitza, że „wojna jest aktem siły z zamiarem zmuszenia przeciwnika do wypełnienia naszej woli“. Innymi słowy problem polegał na takim przygotowaniu do wojny, by narzucenie woli przeciwnikowi było tylko kwestią czasu i wynikiem matematycznych obliczeń (zaskoczenie przez niewypowiedzenie formalne wojny, przewaga materialna, brutalność postępowania wobec ludności cywilnej i jeńców itp.). Sprawa wojny stała się zwyczajnym zagadnieniem technicznym. Tylko pod tym kątem widzenia należy oceniać opór przeciw wojowniczym planom Hitlera przed 1939 r. Nie chodziło bowiem generałom o to, by w ogóle sprzeciwić się niesprawiedliwej wojnie, lecz o to, że za wcześnie było na wojnę w 1938 czy w 1939 r. Na podstawie doświadczeń i znajomości rzemiosła, zdaniem generałów Niemcy byłyby gotowe do wojny z pełną nadzieją na zwycięstwo dopiero gdzieś około 1942 r.

Hitler, znudzony i zniecierpliwiony zastrzeżeniami, przeprowadził czystkę. W dniach 3 i 4 lutego 1938 r. zwolnił ministra wojny marsz. Blomberga (pod pozorem małżeństwa z sekretarką ministerstwa, Erną Gruhn, dawniej podobno dziewczyną lekkich obyczajów) oraz dowódcę armii gen. v. Fritscha (oskarżonego o homoseksualizm, zginął w kampanii wrześniowej jako dowódca pułku pod Warszawą). Jednocześnie zwolnił 16 generałów i przeniósł 44 na inne stanowiska za sympatyzowanie z Blombergiem czy Fritschem. Nie spotkawszy się z oporem, siebie mianował ministrem wojny, a Goeringa tego samego dnia feldmarszałkiem. Z tą chwilą zakończył się niezależny żywot niemieckiej „Generalität“.

Gdy więc w okresie 1933-34 Hitler jeszcze pertraktował z przedstawicielami armii, w latach następnych wydawał już rozkazy przyjmowane w milczeniu, po wrześniu zaś 1939 r. traktował generałów jak lokai, usuwał, degradował i wieszał, bez słowa protestu ze strony ich własnych kolegów.

W listopadzie 1939 r. Brauchitsch przy wręczaniu Hitlerowi memorandum przedstawiającego liczne trudności w związku z dalszym prowadzeniem wojny, powiedział, że duch bojowy piechoty w czasie kampanii z Polską był znacznie niżej poziomu pierwszej wojny światowej, że wiele było wypadków nieposłuszeństwa i że byłoby rzeczą jak najbardziej pożądaną aby w przyszłości tylko dowództwo armii odpowiadało za prowadzenie działań wojennych. Hitler zareagował następująco. Armia nigdy nie była lojalna, nigdy nie ufała jego geniuszowi. Armia sabotowała wysiłek dozbrojeniowy przez celowe zwalnianie jego tempa. W szeregach armii szerzy się defetyzm i tchórzostwo. Generałowie boją się walczyć. Brauchitsch wrócił przybity i złamany do swej kwatery. Taka metoda traktowania generałów stała się odtąd regułą.

Osobny rozdział stanowi sprawa udziału wojskowych w spisku przeciw Hitlerowi, dookoła którego buduje się dziś legendę. Spisek był nieprawdopodobnie niemrawym i niezdecydowanym przedsięwzięciem. Jeśli tak było, to dlatego, że — pisze Wheeler-Bennet — „generalicja przestała istnieć jako grupa o niezależnym sądzie. Z ochotą i radością przefrymarczyła swój honor i niezależność za buławy, odznaczenia i szybkie awanse. Typ Keitla nie był odtąd wyjątkiem a regułą, symbolem pasożytniczego pochlebcy, którego generałowie oddali Hitlerowi do dyspozycji“

Od wiosny 1942 r., po załamaniu się frontu niemieckiego pod Moskwą „arogancja strategiczna“ Hitlera nie znała granic. Wszystkiemu winni byli generałowie, bo stchórzyli, nie wykonywali rozkazów, bo uważali, że są mądrzejsi od Hitlera. Na nich więc spadła cała zemsta. „Hitler traktuje odtąd swych generałów z tak pogardliwą bezczelnością, że zdumienie ogarnia człowieka, iż ci nie odwrócili się i nie rozszarpali go. Lecz nie uczynili tego. Przeciwnie, całowali rózgę i lizali rękę bijącą ich, przyjmując cięgi jako część wynagrodzenia, które należało spłacić za buławy marszałkowskie i odznaczenia.“ Hitler zwolnił lub przeniósł w stan spoczynku marszałków Leeba i Witzlebena (powieszony po 20 lipca), gen. Guderiana (wrócił potem do łask), gen. Hoepnera (publicznie zdegradowany, później powieszony) oraz 35 dowódców korpusów i dywizji. „Przeminęły bezpowrotnie dni przywilejów i bezpieczeństwa, jakim cieszyli się generałowie; przeminął bezpowrotnie szacunek, jaki należał się automatycznie tym, którzy nosili na spodniach niebieskie lampasy oficerów sztabu generalnego. Nagrodą za dobrowolne upokorzenie się były degradacje, całkowite poniżenie i pogarda Hitlera.“

Jednym z punktów zwrotnych drugiej wojny światowej była klęska Paulusa pod Stalingradem. Pomimo rozumienia skutków tej klęski, generałom nadal brakowało — pisze Wheeler-Bennet — „moralnej odwagi, ducha oporu i niezależności umysłowej, by wyciągnąć z tego faktu natychmiast właściwe konsekwencje. Większość z nich myślała jedynie o swojej zawodowej i społecznej karierze w najbardziej materialnym tego słowa znaczeniu. Buławy marszałkowskie i krzyże rycerskie, prezenty, posiadłości ziemskie i pozwolenia na budowę domu, kazały milczeć wyrzutom sumienia, które mogłyby od czasu do czasu dochodzić do głosu. Nie byli w stanie zdobyć się na zlikwidowanie Hitlera, dopóki mógł ich obsypywać zaszczytami“. Nawet jeden ze spiskowców, prof. J. Popitz (pruski minister finansów w latach 1933-44, powieszony po 20 lipca) wyraził się o generałach, z którymi współdziałał, że „myślą jedynie o swych odznaczeniach“.

Obraz upadku generalicji niech zamknie dość charakterystyczna scena. Adm. Raeder odwiedził w marcu 1945 r. w szpitalu b. ministra obrony w latach 1920-28, Otto Gesslera, okrutnie skatowanego w obozie koncentracyjnym w Fürstenbergu. Gessler był jego starym kolegą i szefem. Na nim, koledze mógł się Raeder przekonać, jak w praktyce wyglądają rządy, którym dawał tak wybitne poparcie. Raeder zdobył się jedynie na nic nie znaczący gest: dyskretnie odpiął złotą odznakę partyjną na dowód, że wstydzi się przynależności do partii. Scenę tę zaopatruje Wheeler-Bennet ko-

mentarzem: „Taki był honor korpusu oficerskiego".

Na zakończenie, kilka słów o samej książce. Treść niekoniecznie pokrywa się z tytułem. Zamiast bowiem historii niemieckiego sztabu generalnego, mamy świetnie zaprezentowane sylwetki generałów, w szczególności szefów sztabu. Spisek jest chyba po raz pierwszy tak obszernie i źródłowo przedstawiony. Autor wykazuje jego błędy, złe planowania, słabość przywódców politycznych i wojskowych, daje dowody, że cała akcja konspiracyjna była z góry skazana na niepowodzenie. Dział ten jednak, choć ciekawy stanowi w zasadzie odrębny temat. O samej armii, jej strukturze, organizacji, stosunku do SA, SS i partii hitlerowskiej niewiele się dowiadujemy. Brak rozdziału o junkrach pruskich, którzy przecież odegrali tak zasadniczą rolę w formowaniu sylwetki oficera niemieckiego i ducha Reichswehry. Nie ma nic o kontaktach z przemysłem niemieckim, bez czego historia Reichswehry nigdy nie będzie pełna i zrozumiała.

Książka przekonuje nas o słuszności powiedzenia Clemenceau, że wojna jest zbyt poważną rzeczą, by pozostawiać ją wyłącznie generałom, z czego mutatis mutandis wnosić można, że polityka jest dla nich jeszcze trudniejszym zagadnieniem. Do zwycięstwa Hitlera w 1933 r. w znakomitym stopniu przyczyniła się armia. W nagrodę za to, Hitler, zanim zlikwidował siebie, zniszczył jej mit, potęgę i niezależność. Lecz czy na zawsze?

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

AMERYKA, SOWIETY I „TRZECIA SIŁA"

W wycinku krajobrazu międzynarodowego, ukazanym przez ostatnie zeszyty kwartalników „Foreign Affairs" i „International Affairs"*), wysuwają się na plan pierwszy opory stawiane przez przyjaciół i półprzyjaciół Ameryki przeciw jej, od niedawna podjętej, polityce wolności. Wychodzą one przede wszystkim z łona Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, w której rolę jednego z głównych suflerów grają Indie.

W danym wypadku rzecznikiem Wielkiej Brytanii jest sam przywódca opozycji, Attlee. Wychodzi on głównie z założeń ekonomicznych. Życie Wielkiej Brytanii zależy od handlu — dowodzi — a tymczasem Ameryka utrudnia naszą wymianę towarową z własnym kontynentem przez utrzymywanie bariery celnej, zaś z krajami bloku komunistycznego przez system zakazów. Mamy więc odciętą drogę handu zarówno z Zachodem jak i Wschodem, mimo że na tym ostatnim kierunku ograniczamy się do transakcji materiałem ściśle niewojennym. Stanowisko Ameryki nie jest konsekwentne i słuszne, gdy zważyć okoliczność, że właśnie my byliśmy w czasie wojny tym czynnikiem, który wbrew naciskowi Ameryki dążył do uratowania Europy wschodniej od zagarnięcia przez Sowiety przez ubiegnięcie ich drogą od południa**). Także i obecnie nie korzysta się z naszego znawstwa spraw europejskich; wbrew naszym przestrogom pragnie się jednoczyć Europę za jednym zamachem, co jest zgoła niemożliwe. Nie docenia się naszego znawstwa spraw azjatyckich. Gdyby nie nasza polityka w Azji, Indie byłyby dziś w obozie komunizmu. Grozi to Indochinom, o ile Francja nie pójdzie póki czas za przykładem naszym w Indiach i holenderskim w Indonezji. Przedstawiwszy następnie problem chiński na sposób: „wpychania Chin w objęcia sowieckie", „wzmacniania tamtejszego komunizmu przez zranione uczucia nacjonalistyczne", „odporności starej cywilizacji chińskiej na komunizm", etc. Attlee domaga się uznania czerwonego rządu chińskiego i zneutralizowania Formozy i Korei. Na zakończenie Attlee wygarnia zarzuty przeciw McCarthy'emu (Labour Party nie jest antyamerykańska ani marksistowska, ma za sobą 40 lat zwycięskiej walki z komunizmem we własnym kraju, nie potrzebuje nauk od początkujących) oraz przeciw rządowi Stanów, który popiera tak niedemokratycznych reakcjonistów jak Franco i Syngman Rhee, przez co „podważa fundamenty demokratycznych aliansów".

Bardziej logiczny od Attlee'go jest drugi rzecznik Wspólnoty, autor hinduski ukrywający się pod pseudonimem „P". Dostrzega on brak demokratyzmu także i po stronie bloku komunistycznego, ponadto przemawia w tonie szczerze idealistycznym. Idealizm ten ma jednak granice dosyć wąskie, bo nie dba o zaniesienie wolności za żelazną kurtynę, a także jest miejscami niewiarogodnie naiwny. Jeśli chodzi o ten ostatni rys, to autor daje przykład już na wstępie swoich wywodów: „Indie nie uważają komunizmu, mimo że są jego bezpośrednim sąsiadem, za groźbę dla swego istnienia". Twierdzenie uzasadnia tym, że Indie mają własny rząd narodowy, co pozbawia jakoby komunizm nacjonalistycznego wsparcia, a w konsekwencji również siły penetracyjnej i wszelkiej atrakcyjności. „P" daje folgę przeróżnym żalom. Zarzuca Ameryce i Wielkiej Brytanii, które jeszcze tak niedawno zdawały się traktować sojusz z Rosją na serio, że są oportunistyczne i któż zaręczy, że nie nawrócą do poprzedniej polityki gdyby Rosja wystąpiła z ugodą, ta Rosja, która w okresie Jałty była tak samo komunistyczna jak jest i teraz. Wyrzuca Ameryce, że za czasów panowania Cziang-Kai-szeka uznawała Tybet jako część Chin, zaś ma za złe Indiom, że bez protestu pozwoliły na wejście tam Mao-Tse-tunga. Gniewa się na Amerykę za popieranie Francji w walce przeciw patriotom indochińskim. Francuzi to imperialiści, świadczy o tym ich upór w utrzymywaniu kolonii w Indochinach, w samych Indiach (Pondichery), w Tunisie, w Maroku. Amerykanie popierają również Portugalczyków w zrabowanym od Indii Goa. Zarzuca się nam, Hindusom, że potępiamy kolonializm państw europejskich, a nie reagujemy przeciw kolonializmowi sowieckiemu. Tak, ale przecież Sowiety ani nie pretendują, jak my, do reprezentowania wolności w świecie, ani nie ubiegają się o sojusz z Indiami. Dlatego my nie wtrącamy się do nich. Wy zaś macie pretensję, że nie łączymy się z wami. Udowodnijcie najpierw, że naprawdę jesteście za wolnością.

Następnie „P" wytacza sprawę Chin i dochodzi do zadziwiającego stwierdzenia, że to w istocie Ameryka sprowokowała Chiny do interwencji w Korei; Chińczycy nie byli agresorami, jak to niesłusznie orzekła ONZ. A jeśli byli, to dlaczego ich nie ukarano, lecz przeciwnie wdano się z nimi ostatecznie w układy. Końcowy wniosek „P" jest następujący: „Indie uważają, że współzawodnictwo między demokracjami a komunizmem należy rozegrać

*) „Foreign Affairs", Nowy Jork, Vol. 32, 162: H. M. Wriston — Głosy Ameryki; Clement R. Attlee — Wielka Brytania a Ameryka; E. A. Gross — O rewizję statutu ONZ; B. Brodie — Broń atomowa: strategiczna czy taktyczna; Sir R. Watson-Watt — Obrona radarowa; V. P. Timoshenko — Rolnictwo sowieckie; P. — Ameryka, Rosja a sprawa indyjska; E. Padilla — Sens panamerykanizmu; W. M. Mallory — O zaprzyjaźnienie się z Indonezją; G. M. Carter — Czy segregacja (apartheid) w Południowej Afryce ma widoki powodzenia?; G. Patterson — Problemy ekonomiczne Izraela; Claus Jacobi — Nowa prasa niemiecka.

„International Affairs", Londyn, Vol. 30, No 1: B. Lewis — Komunizm a islam; komandor A. Courtney — Tło historyczne rosyjskiej potęgi morskiej; A. Carleton — Syria dzisiejsza; E. Hambro — Międzynarodowy trybunał sprawiedliwości; G. Lias — Państwa satelickie w dobie postalinowskiej; N. Bentwich — Upadek wpływów Zachodu na Środkowym Wschodzie; M. A. Abram — Stosunki rasowe w stanach południowych Ameryki.

**) Hear, hear! Attlee przyznaje się do udziału w laurach, które jak dotąd przypisywał sobie wyłącznie Churchill (thrust through the soft underbelly of Europe).

wewnątrz każdego państwa; jeśli Inwie i inne państwa Azji południowej zdołają podnieść stopę życiową ludności, unowocześnić swe społeczeństwa, wykorzystać posiadane bogactwa naturalne, rozwinąć oświatę, polepszyć warunki zdrowotne, to wówczas mogą się nie obawiać komunizmu".

Jednakże pouczane w ten sposób Stany Zjednoczone, które receptę „P" już mniej więcej zdołały u siebie zastosować, mimo to obawiają się komunizmu. W dalszym ciągu „podnoszą stopę życiową ludności", a nadto łożą pewne sumy (ogółem dotąd 10 miliardów dolarów) także i na broń atomową. Prof. Brodie wskazuje w swym artykule, że broń atomowa, uważana do niedawna za rarytas, stała się obecnie jedną z pozycji normalnego wyposażenia bojowego amerykańskich sił zbrojnych. Brodie uważa to za awantaż, wyrównujący stosunkową słabość liczebną bloku demokratycznego, nawet dający mu przewagę nad przeciwnikiem na dobry dziesiątek lat. Rzecz ciekawa, że większe znaczenie przypisuje przy tym użyciu taktycznemu broni atomowej niż jej użyciu strategicznemu, choć przepowiada, że oba rodzaje działania będą stosowane równolegle, bez zaniedbywania bombardowań dalekiego zasięgu. Sądzi bowiem, że do działań strategicznych zostanie niewątpliwie użyta również bomba wodorowa, więc w konsekwencji może się okazać często, że rozmiar zamierzonego zniszczenia byłby zbyt duży w stosunku do postawionych sobie zadań. Dlatego Brodie przewiduje, że działania strategiczne broni atomowej spotkają się z ograniczeniami, natomiast atomowe działania taktyczne rozrosną się na wielką skalę. Przypuszcza on, że pociski atomowe, użyte przeciw żywym celom przy pomocy artylerii, rakiet i lotnictwa współdziałającego, będą mogły osiągnąć decydujący efekt. Będą zdolne do tak znacznego rozproszenia naziemnych sił nieprzyjaciela, że równającego się zupełnemu obezwładnieniu. Zdolność ta zależy w pierwszym rzędzie od obfitości zaopatrzenia w atomowe uzbrojenie, obfitość zaś, sądzi Brodie, została już przez Amerykę osiągnięta.

Równocześnie z rozwijaniem ofensywnych środków walki nie ustaje w Ameryce praca nad ulepszeniem obrony przeciwatomowej. Świadczy o tym artykuł specjalisty brytyjskiego w dziedzinie radarowej, Watsona-Watta, który zachęca Amerykanów, by nie zrażali się trudnościami konstruowania gigantycznej zasłony radarowej wzdłuż zagrożonych granic, gdyż jego zdaniem jest to najpewniejszy element OPL. Z artykułu dowiadujemy się, że trudności i koszty są nie byle jakie, bo do skutecznej obrony radarowej trzeba stworzyć nie tylko zewnętrzną sieć posterunków kontrolnych, lecz również i drugą sieć wewnętrzną w głębi kraju, a obie oczywiście wesprzeć bogactwem środków OPL czynnej. Ale zysk z radaru jest ogromny: w razie należytego skompletowania systemu radarowego, dowództwo OPL będzie otrzymywało ostrzeżenia o zbliżaniu się samolotów już na sześć godzin przed nadejściem ich na większe cele wewnątrz Stanów Zjednoczonych.

Artykuł Watta i głos Brodiego pozwalają zrozumieć, że najnowsza, śmielej sięgająca po inicjatywę, polityka amerykańska, ma realne pokrycie w zwiększonym potencjale wojennym. Orientują też o podstawach, na jakich dokonuje się ewolucja strategicznych koncepcji amerykańskich, o której słychać ostatnio.

Sądząc po rozprawach Timoshenki („Foreign Affairs") i Liasa („International Affairs") poświęconych sowieckim sprawom gospodarczym, silniejsze poczucie wojskowe w Ameryce zbiegło się z kryzysem ekonomicznym większej miary na obszarach za żelazną kurtyną. Obaj autorzy wnioskują, że rolnictwo sowieckie oraz większości sowieckich krajów wasalnych przechodzi głęboki kryzys, mogący zagrozić głodem. W konsekwencji przewidują oni ewentualność zwrócenia się Sowietów o pomoc zbożową do Zachodu i w związku z tym większą polityczną ustępliwość Kremla. (Możliwość porzucenia systemu kolektywizacji w rolnictwie, niewątpliwie głównej przyczyny kryzysu, odrzucają jako nieprawdopodobną.)

Wydawałoby się zatem, że okoliczności do rozwinięcia przez Amerykę polityki wolności są istotnie sprzyjające. Jest w Białym Domu wola, wzrosła siła, przeciwnik znalazł się w kłopotach. Są i przeszkody, a wśród nich nie najmniejszą jest, niestety, opór we własnym obozie.

T. W.

O INNĄ AFRYKĘ

Vernon Bartlett: STRUGGLE FOR AFRICA. Frederick Muller Ltd. Londyn 1953. Stron 251.

Kilka cyfr określa kontury problemu, jaki reprezentuje kontynent afrykański w stosunku do Europy, której jest naturalnym zapleczem.

Afryka stanowi jedną piątą powierzchni lądowej globu ziemskiego, ale posiada znacznie mniej niż jedną dziesiątą ludności świata. Istnieje niepewność co do ścisłości cyfr zaludnienia Afryki. Lord Hailey w swym „African Survey" stwierdza, iż w ostatnich stu latach szacunki ludności Afryki wahały się od 28 milionów do 205 milionów; obecny stan zaludnienia według niego zapewne nie przekracza 163 milionów. Inny autorytet, tym razem niemiecki, dr Anton Zischka podaje cyfrę 180 milionów. Trzysta lat temu rzekomo ludność Europy wynosiła 100 milionów, tyle samo co ludność Afryki, ale dzisiaj osiągnęła cyfrę 520 milionów, z grubsza trzykrotnie wyższą niż ludność Afryki. Obszar Europy stanowi tylko jedną trzecią obszaru Afryki.

Wydaje się faktem ponad wszelką wątpliwość, że Afryka czarnego człowieka nie wydała żadnej cywilizacji. Jest to kontynent bez historii, którego prymitywizm życia i obyczaju utrzymał się nietknięty aż do ostatnich czasów. Trudno nie zgodzić się z stwierdzeniem b. gubernatora Kenii Sir Philipa Mitchella, iż Afrykańczycy „w 1890 r. żyli w warunkach bardziej prymitywnych niż zanotowane odnośnie Brytanii przedrzymskiej". Czarne ludy afrykańskie nie wytworzyły pisma, brak też na obszarach przez nie zaludnionych jakichkolwiek zabytków architektonicznych. Ten kompletny brak twórczości cywilizacyjnej tłumaczy się w dużej mierze warunkami klimatycznymi, niedożywieniem i nagminnym rozpowszechnieniem chorób obniżających żywotność. Murzyni niekiedy wykazują wielkie zdolności. Znany pisarz francuski, André Siegfried jednak utrzymuje, iż jest to inteligencja czysto receptywna, raczej mechaniczna, oparta bardziej na pamięci niż na rozumowaniu, na reprodukowaniu wyuczonych wzorów niż na inicjatywie.

Vernon Bartlett, który jest znanym dziennikarzem i komentatorem radiowym angielskim, napisał książkę wartą przeczytania nie ze względu na głębokość i szczególną trafność obserwacji, nie ze względu na zalety stylu czy dobrą konstrukcję, ile raczej z uwagi na rozległość obszaru jaki maluje i mnogość problemów jakie porusza. Jest to książka, która może wzbudzić zainteresowanie dla tematu afrykańskiego i zachęcić do dalszych, gruntowniejszych studiów.

W swoim afrykańskim „tour d'horizon" Bartlett stosunkowo najobszerniej omawia sytuację w Związku Południowej Afryki, gdzie nagromadzona jest szczególnie wielka ilość materiału palnego, grożącego wybuchem na dalszą metę. Obok zasadniczej przeciwstawności interesów i dążeń czarnej ludności tubylczej i białych kolonistów, stanowiących warstwę panów na tym terenie, istnieje tam jeszcze zarzewie konfliktów w łonie samej ludności białej, składającej się z elementów burskiego i brytyjskiego. Nacjonaliści burscy z drem Malanem na czele zmierzają wyraźnie do utworzenia niepod-

ległej republiki południowo-afrykańskiej i na dalszą metę wyłamania się z Commonwealthu brytyjskiego. Wobec Murzynów stosują politykę rygorystycznego oddzielenia i odmawiają im wszelkich praw politycznych. W rezerwatach murzyńskich mieszka około 3.5 miliona ludzi. Rezerwaty stanowią niespełna 10% obszaru Związku, zawierają jednak ziemię raczej urodzajną, podczas gdy znaczna część obszaru zastrzeżonego dla białych stanowi pustynię. Jednak oddzielenie nie dało się praktycznie przeprowadzić. Trzy dalsze miliony Murzynów mieszka w miastach, a dwa pracuje na farmach u białych. Polityka „apartheid", tj. rygorystycznego oddzielania czarnych od białych, jest praktycznie niewykonalna, ekonomicznie i społecznie szkodliwa. Odsetek ludności białej w Związku Południowej Afryki jest wyjątkowo wysoki, bo stanowi około 20%, jednak stopniowa emancypacja ludności murzyńskiej nie da się powstrzymać i dotychczasowe uprzywilejowanie polityczne i ekonomiczne z konieczności musi być zmodyfikowane, o ile chce się zapobiec ruchom rewolucyjnym (przecież już rozpoczętym w Kenii — Mau-Mau).

Na całym olbrzymim obszarze na południe od Sahary mieszka około 130 milionów czarnych, 3 miliony Europejczyków i około 0.5 miliona Azjatów, głównie Hindusów. Bartlett sugeruje takie rozwiązanie problemu afrykańskiego, które znajdowałoby miejsce na zgodną współpracę białych z czarnymi. Wydaje mu się przy tym, że poprzedzone to winno być pewnymi zmianami. Zmienić się więc musi postawa Europejczyków wobec czarnych, trzeba zerwać z dyskryminacją wynikającą z koloru skóry. Autor nie idzie jednak tak daleko, by zalecać mieszane biało-czarne małżeństwa. Dla dobra prawdziwego rozwoju Afryki potrzebna jest również zmiana stosunku czarnych do problemu cywilizacji. Istnieje niewątpliwie silny pęd ku kształceniu się wśród Afrykańczyków. Nabycie wiedzy książkowej jest jednak niewystarczające, a właśnie ten pęd ku kształceniu wyładowuje się przeważnie w tym kierunku. Afrykańczycy wydają się nie rozumieć pilności takich palących problemów, jak podniesienie wydajności rolnictwa, przeciwdziałanie erozji itd.

Autor wreszcie wysuwa konieczność traktowania potrzeb rozwojowych Afryki w ramach organizacji ponadpaństwowej, co wymagałoby rezygnacji z wyłączności przysługującej władzom poszczególnych państw kolonialnych.

Afryka nie może zaspokoić potrzeb Europy w zakresie żywnościowym, natomiast ma do zaofiarowania wiele innych wartości. Posiada ona np. ponad 40% siły wodnej, której zużytkowanie rozwiązałoby nie tylko niedostatek rąk ludzkich, ale byłoby niezmiernie cennym źródłem energii również dla Europy. Bogactwa mineralne Afryki są niewątpliwie ogromne, a ich eksploatacja zaledwie wchodzi w stadium początkowe. Mimo to Afryka dostarcza ponad jedną trzecią światowego wydobycia fosfatów, 45% chromu, 23% manganezu, 85% kobaltu, 70% wanadium, wielkie ilości miedzi, wreszcie posiada najbogatsze w świecie dotąd odkryte złoża uranu (96% produkcji światowej przypadało na Kongo w 1951 r.). Nie brak w Afryce węgla, cyny, rudy żelaza, ołowiu, bauksytu, złota, diamentów itd.

Ludność tubylcza sama nie jest zdolna bez pomocy Europejczyków — finansowej, technicznej, organizacyjnej — wyzyskać bogactw drzemiących w jej ziemi. Wspólny interes wskazuje na potrzebę, na konieczność współpracy biało-czarnej.

(m. ost.)

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO

OBRADY KOMITETU POLITYCZNEGO

W dniach 29 stycznia oraz 4 i 11 lutego 1954 r. w Londynie odbyły się trzy kolejne posiedzenia Komitetu Politycznego Stronnictwa Narodowego.

Przedmiotem obrad były sprawozdania złożone Komitetowi przez p. Z. Berezowskiego imieniem Prezydium, prezesa T. Bieleckiego imieniem Centralnego Wydziału Wykonawczego i przez sekretarza Komitetu p. A. Dargasa. Sprawozdania objęły zagadnienia polityki międzynarodowej, spraw wewnętrznopolitycznych z uwzględnieniem rokowań o zjednoczenie polityczne oraz całokształt prac Stronnictwa Narodowego w ubiegłym roku. Ze szczegółowego zestawienia w sprawozdaniu prezesa Bieleckiego osiągnięć politycznych i organizacyjnych wynika, że Stronnictwo Narodowe poczyniło dalsze znaczne postępy powiększając szeregi swoich zwolenników i uczestnicząc w pozytywnych działaniach ośrodków polskich w Wielkiej Brytanii, na kontynencie europejskim, w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Argentynie, Australii i innych krajach. W okresie sprawozdawczym ponadto rozszerzono i pogłębiono prace w dziedzinie ideowo-programowej, a także przeprowadzono indywidualne bądź zespołowe studia w zakresie zagadnień międzynarodowych. Podkreślić zwłaszcza wypada urządzone przez Stronnictwo Narodowe w ubiegłym roku i na początku obecnego w wielu krajach liczne obchody 60-lecia ruchu narodowego, które dały okazję do przypomnienia podstawowych zasad polityki polskiej i określenia celów na czasy dzisiejsze.

Po przeprowadzeniu dyskusji Komitet Polityczny przyjął przedłożone mu sprawozdania do zatwierdzającej wiadomości, jak również zatwierdził wnioski przedstawione przez Komisję Rewizyjną.

W drugiej części obrad Komitet Polityczny dokonał kooptacji na opróżnione miejsca nowych członków na okres trzech lat. Wybrani zostali pp. F. Arciszewski, T. Borowicz, A. Dargas, Z. Stypułkowski i A. Żółtowski.

Sekretarzem Komitetu Politycznego wybrano p. A. Dargasa, delegatami do Prezydium pp. Z. Stypułkowskiego i J. Wernera. Wybrano Komisję Rewizyjną z trzech osób z prof. A. Żółtowskim na czele oraz Sąd Komitetu Politycznego na nową kadencję, złożony z siedmiu członków z p. Z. Stypułkowskim jako przewodniczącym.

ZEBRANIA I ODCZYTY

W Bradfordzie Koło Stronnictwa Narodowego urządziło w dniu 13 lutego opłatek dla członków i sympatyków. Wzięło w nim udział ponad 100 osób. Imieniem kierownictwa Koła p. Z. Wyszecki powitał gości, ks. dr Grzegorzka, delegata brytyjskiego Wydziału Wykonawczego SN p. J. Rożdżyńskiego oraz wszystkich zebranych. Ks. dr Grzegorzek wygłosił okolicznościowe przemówienie, po czym przełamał się opłatkiem. Z kolei p. Rożdżyński zobrazował położenie i postawę kraju pod okupacją sowiecką, a także przedstawił zadania i cele, jakim służy Stronnictwo Narodowe. Przy bardzo dobrej orkiestrze miejscowego Koła SPK tańczono do północy.

★

W Sheffieldzie w dniu 15 lutego odbyło się zebranie informacyjne dla członków i sympatyków SN. Przewodniczył p. K. Rubin. Referat polityczny i organizacyjny wygłosił p. J. Rożdżyński z Londynu.

W SPRAWIE PUBLIKACJI J. GIERTYCHA

Na zebraniu swym w dniu 4 lutego 1954 r. Komitet Polityczny na wniosek Centralnego Wydziału Wykonawczego Stronnictwa Narodowego powziął uchwałę, aby powołać komisję dla roz-

patrzenia wystąpienia publicznego Jędrzeja Giertycha w formie broszury pt. „List otwarty do członków i sympatyków Stronnictwa Narodowego“.

Do komisji wyłonionej przez Komitet Polityczny zostali wybrani pp. Olgierd Daniłłowicz, Antoni Dargas, Stefan Łochtin, Wojciech Wasiutyński i Adam Żółtowski.

Przewodniczącym komisji na jej pierwszym posiedzeniu, które odbyło się w dniu 10 lutego, wybrany został prof. Adam Żółtowski.

KTO JEST PRZECIW KRZYŻOWI

Ze zdecydowanym oporem niektórych czynników w kołach rządowych i Rady Narodowej, niechętnych katolicyzmowi spotyka się sprawa przywrócenia krzyża w godle państwowym. Nowym dowodem na to jest ogłoszony w Londynie podczas ostatniego dorocznego zjazdu Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej list kancelarii cywilnej prezydenta Zaleskiego. List ten adresowany do Koła Katolickiego w Birminghamie, które przesłało Prezydentowi uchwałę popierającą sprawę przywrócenia krzyża, zawiera następujące sformułowanie:

„Kancelaria cywilna zaznacza w imię prawdy, że rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 13 grudnia 1927 r. o godłach i barwach państwowych oraz o oznakach, chorągwiach i pieczęciach nie zawiera żadnych postanowień o zdjęciu krzyża z korony na orle białym, lecz pozostawia go takim jakim był od czasu unii Polski z Litwą. Krzyż znajdował się jedynie na koronie królewskiej umieszczonej nad tarczą herbową, przedstawiającą orła w koronie bez krzyża, Pogoń i herb osobisty króla. Ta korona jako godło królewskie nie mogła mieć zastosowania przy herbie republiki“.

Otóż prawda, na którą powołuje się kancelaria cywilna Prezydenta wygląda inaczej. Mianowicie, orzeł w koronie z krzyżem stał się godłem państwa mocą ustawy z dn. 1.8.1919 r. o godłach i barwach Rzeczypospolitej. Ustawa ta nosi podpisy marszałka sejmu Wojciecha Trąmpczyńskiego i premiera Ignacego Paderewskiego. Dopiero rozporządzeniem Prezydenta R.P., po zamachu majowym, z dn. 13.12.1927 r. został usunięty krzyż z korony orła. Rozporządzenie podpisali prezydent Ignacy Mościcki, premier Kazimierz Bartel, a wśród ministrów m.i. August Zaleski.

W chwili kiedy Kościół i kraj poddane są coraz cięższym prześladowaniom przez bezbożny komunizm, akt przywracający godłu państwowemu cechy katolickie byłby najlepszym wyrazem zamanifestowania prawdziwych dążeń i stanowiska ujarzmionego narodu. Tymczasem wniosek Instytutu Akcji Katolickiej, poparty przez Protektora Uchodźstwa Polskiego J. E. ks. arcybiskupa Gawlinę, utknął przed rokiem w Radzie Narodowej i do dziś nie jest załatwiony.

★

Trzecią już z kolei taką uchwałę powziął Instytut Akcji Katolickiej, na swym zjeździe 6 i 7 lutego w Londynie. Tegoroczna uchwała mówi: „Symbolika czasów obecnych domaga się w obliczu męczeństwa Polski i naszej chrześcijańskiej tradycji historycznej, przywrócenia w Roku Maryjnym krzyża na koronie orła w godle państwowym i usunięcia rysunku gwiazdy pięcioramiennej z jego skrzydeł“.

W innych uchwałach wezwano do nie ustawania w modlitwach i akcji protestacyjnej przeciw prześladowaniu Kościoła w Polsce. Wezwano również wszystkich, którym śmierć bliźniego z głodu nie jest obojętna, a w pierwszym rzędzie katolików wolnego świata do wywarcia nacisku na ich rządy, by przy pertraktacjach handlowych z komunistami użyły całego swego wpływu dla zapewnienia ludności w Polsce prawa otrzymywania z zagranicy paczek — darów wolnych od cła.

Prezydium nowego zarządu IPAK-u ukonstytuowało się następująco: prezes J. Baliński-Jundziłł, wiceprezesi Z. Podhorski i T. Drweski, sekretarz J. Płoski, skarbnik B. Podoski; członkowie zarządu: H. Archutowski, T. Borowicz, L. Czosnowski, S. Dreżewski, M. Dubanowiczowa, A. Giedroyciowa, A. Iwaszkiewicz, W. Jelonek, S. Kopański, R. Koperski, J. Kott, R. Matłachowska, S. Misiakowski, J. Prokop, T. Tchórzewski, W. Wasiutyński. Asystentem kościelnym jest ks. prał. W. Cieński.

O NIEMIECKIEJ PROPAGANDZIE

P. Paweł Heciak, członek zarządu Związku Ziem Zachodnich wygłosił na zaproszenie Koła Polskiego w Cambridge dnia 21 lutego odczyt na temat „Metody niemieckiej propagandy rewizionistycznej“. Referat był ilustrowany licznymi publikacjami, wydawanymi przez różne ośrodki niemieckie. Po odczycie nastąpiła długa, ożywiona dyskusja. 20 osób z 70 obecnych na sali zgłosiło się na członków Związku Ziem Zachodnich.

ZJAZD OŚWIATOWY

W Londynie obradował w dniach 20 i 21 lutego zjazd działaczy i pracowników kulturalno-oświatowych zwołany przez zarząd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. W ramach zjazdu wygłoszone zostały referaty: „Istota i cele pracy kulturalno-oświatowej“ (J. Kisielewski), „Rola zespołów w pracy oświatowej“ (C. Czapliński), „Książka i pismo w służbie oświaty polskiej zagranicą“ (M. Stopa), „Artystyczne formy pracy kulturalno-oświatowej“ (H. Zabielski), „Polska geografia kulturalno-oświatowa na obszarze Wielkiej Brytanii“ (H. Archutowski).

Szereg zastrzeżeń wywołał referat o roli zespołów w pracy kulturalno-oświatowej. Trudno np. było zebranym podzielić poglądy p. Czaplińskiego o „przestarzałych formach zespołowego działania“ jak np. parafia, nota bene w ramach zjazdu odbywającego się w sali Kościoła Polskiego na Devonii.

Obrady zjazdu były urozmaicone widowiskiem scenicznym T. Nowakowskiego „Piękna nasza Polska cała“ w wykonaniu zespołu teatru amatorskiego przy Kościele Polskim na Devonii, pokazem tańców ludowych i strojów ludowych oraz występami chóru im. Chopina i zespołu muzycznego SPK.

Liczne obesłanie zjazdu (ponad 100 uczestników, z czego około 60 z prowincji przyjechało na własny koszt), żywa dyskusja i szereg pozytywnych wniosków jakie wpłynęły na ręce prezydium zjazdu w czasie obrad, świadczy o słuszności inicjatywy Rady Kulturalno-Oświatowej Zjednoczenia Polskiego.

TABLICE KU CZCI MATKI BOSKIEJ

O. Aureliusz Borkowski, O. F. M. (Custodia di Terra Santa, Jerusalem, Old City, H. K. Jordan) powziął zamiar ufundowania w Roku Maryjnym ku czci Matki Boskiej w Ain-Karim pod Jerozolimą, artystycznych tablic z tekstem kantyku „Wielbi dusza moja Pana“ w 30 różnych językach. O. Borkowski prosi o składanie ofiar na ten cel pod odresem ks. Wacława Kołodziejczyka, T.J., Sekretariat PMS na Uchodźstwie, 38 Fitzjohn's Av., London, N.W. 3.

OD ADMINISTRACJI

Wielu czytelników nadesłało uwagi, że wycinanie kuponów zamówieniowych na nową książkę Wojciecha Wasiutyńskiego „Listy o ludziach“ uszkadza egzemplarz „Myśli“.

Uwzględniając życzenia czytelników kompletujących roczniki naszego pisma, przyjmujemy także wszystkie inne zgłoszenia na „Listy o ludziach“, odpowiadające warunkom drukowanego wzoru.

Z TEKI PANI MALINY

Malina Zaleszczycka
pułkownikowa dyplomowana
Earl's Court 26.2.54

Jagodo Kochana,

Więc nareszcie mamy pewność. Od dawna podejrzewałam ośrodki dyspozycyjne klerykalizmu. A teraz, jak mówi Słowacki, już nasze podejrzenia stwierdzone dowodem. Ale im napisał! Zapytasz kto? Oczywiście Nowakowski. Udowodnił czarno na białym, że Weritas jest Agenturą. Wystarczy Ci powiedzieć, że wydali Antypaństwowy Kalendarz, w którym nie ma ani Szóstego Sierpnia, ani Jedenastego Listopada, ani Dziewiętnastego Marca, ani Dwunastego Maja! A tłumaczy się to tym, że zawsze bliższy im był Rzym, a nawet Warszawa niż Londyn, siedziba Władz Legalnych. Zajmowali stanowisko antyemigracyjne i prokomunistyczne. Ale zostali rozszyfrowani. Teraz trzeba dopiąć guziki i wzmocnić pogotowie psychiczne. Trzeba zdwoić wysiłek i poświęcić się bez reszty na tropienie Agentur.

Bo Ty może, Jagodo, siedząc za morzami, z dala od ośrodka niepodległościowego, nie doceniasz jaką wagę piastuje w życiu państwowym Kalendarz. Kalendarzem się podciąga teren i nastawia go na zespolenie wysiłku zbiorowego. My tu żyjemy Kalendarzem niepodległościowym. Nasz rok, to Rok Polski. Rok zaczynany okresem Jasełek czy Betlejem Polskim. Betlejem trwa do połowy stycznia, potem zaczyna siz Karnawał. To najpiękniejsza i najbardziej pokrzepiająca nasza tradycja narodowa. Zaraz po Karnawale zaczynają się Wybory w Kołach i trwają do Wielkanocy. Od Wielkanocy zaczyna się okres Święta Narodowego. Trzeci Maja trwa u nas od końca kwietnia do początków czerwca i poprzez Monte Cassino przechodzi niepostrzeżenie w Boże Ciało. Jak się kończą procesje, Felicjan przestaje wyjeżdżać w Teren i mamy krótki okres Holidajów, podczas którego przygotowujemy się do Święta Żołnierza. Dzień Żołnierza wypełnia sierpień i pół września. Potem obchodzimy Upadek Powstania Warszawskiego, a potem jednocześnie Zaduszki, Święto Niepodległości i Powstanie Listopadowe. Ostatni miesiąc w roku jest miesiącem Świętego Mikołaja dla dzieci, a Zjazdów Światowych dla dorosłych. A święta pułkowe, dywizyjne, batalionowe i służbowe? A Obrona Lwowa? A Kaziuk? Sama widzisz jaki ogrom pracy żołnierskiej każdego roku. Ale to trudno. Niestety skazani jesteśmy na wielkość i Kalendarz jest tego wyrazem. Dlatego nie wolno szarpać Kalendarza.

Żyjemy w Ramach Kalendarza i po stosunku do Niego pokazuje się stosunek do niepodległości i ciągłości. Kalendarz, to nie jest świstek papieru, to nasza Imponderabilia. Kto godzi w którąś z Rocznic, godzi w Imponderabilię.

Zabawa Petyhorców udała się nadzwyczajnie. Wspominaliśmy stare dzieje i tańczyliśmy „Złotą panterę". Był Kazio Bróździk (pamiętasz ten przystojny brunecik z Drugiego Szwoleżerów). Teraz modą rozpowszechnioną wśród naszych wojskowych goli głowę na gładko, ale nad ranem zauważyłam, że ma zarost jeszcze prawie całkiem ciemny. Jego obecna żona to ta Lala, która była drugą żoną małego Puszkowskiego z Wydziału Społecznego w Starostwie. Był także Loś Puszkowski z Legionu Młodych z bardzo przystojną wnuczką, która ma wyjść za jednego bogatego górnika. Śpiewaliśmy naturalnie żórawiejki, a także rozpracowaliśmy plan kampanii na Doroczne Walne Zebranie Koła Nr 717.

Zasyłam niepodległościowe uściski

Twoja

Malina

SPROSTOWANIE

W przypisku redakcyjnym do artykułu Witolda Olszewskiego „Czara goryczy Kościoła w Polsce", zamieszczonego w poprzednim nrze „Myśli", zamiast słów: „Już po przysiędze biskupów nastąpił ingres ks. bpa Pawłowskiego" powinno być: „Tuż przed przysięgą biskupów nastąpił ingres ks. bpa Pawłowskiego".

„MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata: półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol. (opłata lotnicza do USA półrocznie 1.50 dol., rocznie 3 dol.).